

Korespondencja z Piekła – 4

10 stycznia 2019

Poemat o Gacku

„Co słyszeć bracie?” – zagadnął do mnie ksiądz, którego obwód w pasie zbliżony był do obwodu warszawskiego ronda de Gaulle’a. „Nie jesteśmy braćmi” – odpowiedziałem mało uprzejmie, na tyle mało, że rondo zamarło na chwilę w bezruchu.



„Ależ forma brat/siostra przyjęta jest także wśród osób świeckich” – odpowiedział. „Tak, ale jedynie wśród osób bliskich, choć najczęściej w kontaktach z bazarowymi naciągaczami, bo to zazwyczaj taki naciągacz, poklepując klienta mówi – będziesz bracie zadowolony z zakupu. To skraca dystans i tworzy pozory zażyłości, numer stary jak świat i jego pierwszy bazar, a jednak wciąż działa” – skonstatowałem. „Proszę mnie również nie określać osobą świecką – dodałem – bo to słowo pochodzi z waszej, kościelnej nomenklatury, z którą nic mnie nie łączy. Ani braterstwo, ani siostrzeństwo, ani świeckość, ateizm czy agnostycyzm. Nie jestem antykrasnołudkiem, jedynie dlatego, że krasnołudków nie ma. Nie chodzę po ulicach mówiąc, że nie wierzę w krasnołudki, bo

wiem, że podobnie jak boga – jakkolwiek pojmowanego, że tak użyję neofickiej formy – również nie ma”. Na tym skończyła się moja rozmowa z lokalnym kapłanem szpitala neuropsychiatrycznego w Lublinie, na którego przypadkiem wpadłem idąc na palarnię. „Możemy mówić sobie po imieniu, używać grzecznościowej formy pan/pani, ale najlepiej jak w ogóle nie będziemy zwracać na siebie uwagi” – odpowiedziałem i zgodnie z zasadami ruchu drogowego, skręciłem w lewo, by na przedostatnim zjeździe odbić w prawo na świetlicę, gdzie znajduje się palarnia.

Powoli tracę przywileje, które z racji uprawianego zawodu, były niezbędne by pisać ten cykl. Zaraz wrócę, na korytarzu jakaś poważna awantura. Zobaczę co się dzieje. Już jestem. Minęły prawie dwie godziny, spieszę więc zrelacjonować wydarzenia tych kilkudziesięciu minut.

Przyłapano dziewczynę na kradzieży papierosów. Niby nic wielkiego, ale okradła inną dziewczynę, częściowo sparaliżowaną, z objawami parkinsonizmu po sudafecie. Zrobiła się ogromna awantura, dowody były tak oczywiste, że przyłapana nie miała możliwości by się wykręcić i musiała się przyznać.

Przez prawie dwie godziny trwała dyskusja, co z tym pasztetem zrobić. Z jednej strony powinna wylecieć jak agresor, który pobił poprzedniego dnia pobił chłopaka, z drugiej jednak waga przestępstwa jest znacznie mniejsza. Przypomniano przy okazji wszystkie wyimaginowane i prawdziwe kradzieże. Dziewczyna odegrała kilka tanich scen, że jeśli jej nie chcemy, to natychmiast opuści oddział i teatralnie wychodziła ze świetlicy informując, że idzie się pakować, by po chwili wrócić i błagać o kolejną szansę. Oczywiście, jak to na takich zebraniach bywa, każdy ma masę różnych rzeczy do powiedzenia. Niekoniecznie na temat, ale grunt to zabrać głos. Im krzykliwiej tym lepiej, a jeśli nie dotyczy to żadnej sprawy, to już idealnie. Stało w końcu na tym, że złapana złodziejka prześpi się na korytarzu, a decyzję w jej sprawie podejmie jutro sam ordynator. Faktycznie, żał byłoby wyrzucać na mróz i

zaśnieżoną ulicę 33 letnią dziewczynę. To prawda że złamała jeden z głównych punktów regulaminu, ale ciężar gatunkowy kradzieży i pobicia jest nieporównywalny. Włączyłem się w końcu do dyskusji, mówiąc, że jeśli pozwolimy jej zostać, nic w tym czasie nie zginie, ponieważ sama nic nie ruszy, a jednocześnie będzie pilnować, by nikomu ni nie zginęło, ponieważ wtedy odpowiedzialność spada na nią. To również ciekawa postać, do której zapewne kiedyś wrócę.

Przez jakiś czas sądziłem, że wszystkie dotychczasowe awantury o pączka, bułkę, ciastka, paluszki czy bibułkę do papierosów miały jedynie odwrócić uwagę od kradzieży właściwych. Wystarczy pobiec do terapeuty z dobrze udawana wściekłością, powiedzieć, że ktoś ukradł czekoladę, a chwilę wcześniej buchnąć markowy zegarek i podać współnikowi przez okno. Oddział mieści się na parterze, więc nawet kraty przez które można podać flaszkę, nie stanowią problemu. Jednak – poza wspomnianymi pierdołami nikt nie zgłaszał kradzieży – więc teoria się sypnęła.

Życie jednak płata figle. Po zakończeniu serii felietonów „Z dna” publikowanych na portalach strajk.eu, lewica.pl, wolnemediam.com i dziesiątek innych, które nie zawracały sobie głowy kurtuazyjnym pytaniem o zgodę na wykorzystanie treści moich felietonów (ale niech tam, niech idzie w świat myśl nowa blaski promiennemi), po wydaniu książki o tym samym tytule i dziesiątkach (jak nie setkach) publikacji, spotkań autorskich i pogadanek w różnego rodzaju stowarzyszeniach i organizacjach, obiecałem sobie, że ponieważ temat wyczerpałem, to więcej o uzależnieniach pisać nie będę. Trudno jednak przebywać na detoksie, w oku cyklonu narkomanii i ten temat pominąć. Spróbuje jednak jakoś się z tym uporać pisząc jak najmniej o narkotykach i alkoholu, a bardziej skupię się na ludziach, ich relacjach i lokalnych zjawiskach.

Głównym bohaterem tego felietonu będzie Gacek. Jest to postać na tyle ciekawa, że wcale się nie zdziwię, gdy niebawem powstaną o nim poważne prace naukowe – od magisterskich, po

dysertacje doktorskie. Ale po kolei.

Gacek

Jeżeli istnieje coś takiego jak narkocelbryta, to w Lublinie jest nim z pewnością Gacek – rocznik 77. Poznałem go wiele lat temu, gdy pierwszy raz leżałem na tym detoksie, potem spotykałem go tam niemal za każdym razem. Widywaliśmy się również w miejscach, gdzie się handluje towarami, albo pod punktem metadonowym. Niewątpliwie wyróżnia się wyglądem starego punka, z irokezem. Obcina się tak od 15 roku życia i nigdy fryzury nie zmienił. Od tamtego czasu zaczął też ćpać. Zaczęło się jednak od problemów z alkoholem. Wyprowadził się wtedy od rodziców i mimo że był nieletni, zamieszkał w Tomaszowie Lubelskim. Tam zajął się dochodową produkcją kompotu – czyli polskiej heroiny. Wiodło mu się dobrze, ale męczyła go stałość, wrócił do Lublina i znalazł skłot. Wyremontował budynek i w nim zamieszkał. „Dobrzy” ludzie postanowili mu go jednak spalić. Znowu był w punkcie wyjścia, zamieszkał na ulicy. Utrzymywał się z żebractwa, sprzedawał swoje rysunki i obrazy. Nawet nieźle mu szło, był utalentowanym malarzem, planował studia w tym kierunku, ale zawalił egzaminy. Po trzyletnim pobycie na lubelskich ulicach, skorzystał z zaproszenia znajomego i zamieszkał w jego domu. Teraz, gdy jego matka podupadła na zdrowiu wprowadził się do niej, by w miarę możliwości jej pomóc. Mimo, że ma gdzie mieszkać, to i tak częściej można spotkać go na ulicy lub na detoksie niż u matki. Mam wrażenie, że te dwa miejsca są jego prawdziwym domem. Przez jakiś czas, gdy jeszcze był bezdomny, doktor Kaciuba wziął go pod swój dach, żeby pokazać mu inne życie, rozbudzić ambicję – gdyby się udało, byłoby z pewnością sukcesem terapeutycznym. Ale Gacek jest niereformowalny, wiecznie uśmiechnięty lub lekko śnięty – zależy co akurat wziął. Mimo, że ma 41 lat, wciąż nosi irokeza z wyglądem i stylem starego punka. Ludziom w jego wieku taki image, raczej nie pasuje, wydają się śmieszni, on odwrotnie. Wygląda dosyć młodo, na pewno nie na tyle lat, co ma naprawdę. Zapytałem go,

czy podjął kiedykolwiek leczenie, uśmiechnął się i powiedział, że tak. Postanowił zmienić swoje życie i pojechać do ośrodka w Krakowie. W Warszawie miał przesiadkę i umówił się tam z koleżanką. Przyszła punktualnie, a na pożegnanie przyniosła 20 centów heroiny. Przyćpali do następnego pociągu i wszystkich kolejnych, które w kierunku ośrodka jechały. Ćpali kilka dni, po których wrócił w miejsce gdzie czuł się najlepiej, czyli do Lublina, a o ośrodku zapomniał.

Znam wielu narkomanów w jego wieku i nawet młodszych, którzy wyglądają znacznie starzej, dużo gorzej, a wszelkie choroby, które zwykle mają widać z daleka. Gacek ma zarówno HIV jak i HCV. Zapytałem w jaki sposób utrzymuje się w tak świetnej formie, odpowiedział, że nie bierze retrowirusów. Ale przecież one podtrzymują życie, dzięki nim nosiciele mogą w miarę normalnie funkcjonować do późnej starości – dopytywałem. To spójrz na nich i na mnie – odpowiedział ze śmiechem. Nie chciałem być niemiły, ale znam kilka osób, które wyglądają świetnie mimo tej paskudnej choroby, chociaż są znacznie młodszy od Gacka. Między innymi Iza, która będzie bohaterką kolejnego felietonu.

Gacek przesiedział łącznie ponad siedem lat. Raz nawet próbował uciekać. Niewiele brakowało a osiągnąłby cel, tylko zawisł na drutach i strażnicy więzienni otworzyli do niego ogień. Po chwili został otoczony i w tym miejscu skończyła się ucieczka. Pechowe druty – skwitował ze śmiechem.

Największym jego marzeniem jest powrót do malarstwa i rysunku. Twierdzi jednak, że to niemożliwe, brak synchronizacji rąk i problem z błędnikiem eliminują precyzję. Marzenie pozostanie więc niezrealizowane – dodaje.

Gacek utrzymuje się z renty, dostaje niecałe 1100 złotych miesięcznie. To jedyny jego dochód, nie handluje towarami, żyje skromnie i w zasadzie nikt – nawet on sam nie wie – dlaczego jest takim lubelskim ćpuńskim celebrytą.

Skończyliśmy rozmowę na jakiś kwadrans przed wyjściem Gacka z oddziału. Spotkamy się pewnie jeszcze niejednokrotnie. Jestem na programie i biorę subutex. Wydają go w tym samym miejscu co metadon, który z kolei utrzymuje przy życiu Gacka. Chciałem napisać, że jeszcze nie raz spotkamy się na detoksie, ale mam nadzieję więcej tu nie trafić. Przynajmniej w roli pacjenta. Gacek jednak – ze względu na metadon – raz w roku musi przeleżeć tu kilkanaście dni...

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info